

Polityki znieść się nie da

LECH KACZYŃSKI

„Przegląd Polityczny”: Zaproponowaliśmy jako temat naszej rozmowy pierwsze miesiące istnienia Solidarności¹. Wiedza o tym okresie jest ciągle skąpa, a Ty wydajesz się być dobrym źródłem informacji. W czasie strajku sierpniowego byłeś obecny w stoczni jako ekspert, potem, w następnych miesiącach, brałeś udział w pracach gdańskiego MKZ-etu². Zacznijmy więc może od sierpnia. Kiedy eksperci znaleźli się w stoczni?

Lech Kaczyński: 22 lub 23 sierpnia. Ja znalazłem się tam dzień później. Sytuacja wyglądała tak, że wcześniej zgłosiłem się przez pośredników z pytaniem, czy jestem potrzebny, i odpowiedziano mi, że nie. Po paru dniach nie wytrzymałem i poszedłem i tak. Rozminąłem się zresztą ze stoczniową delegacją, którą po mnie wysłano. Zawezwanie mnie na strajk pozostało w ścisłym związku z przyjazdem ekspertów.

P.P.: Czy wcześniej znajdowały się w stoczni osoby wspomagające z zewnątrz?

L.K.: Nie było doradców. Natomiast osoby wspomagające były. Istniały wątpliwości, czy tacy doradcy są potrzebni. Borusewicz powiedział mi potem, że powołanie ekspertów nie przyszło mu wcześniej po prostu do głowy, że nie była to sprawa żadnych zasad, tylko wynik napięcia i olbrzymiej ilości bieżącej roboty.

P.P.: Czy na powołanie ekspertów mógł mieć wpływ fakt, iż delegacja rządowa uzupełniona była grupą doradców?

L.K.: W jakimś sensie tak. Należy jednak pamiętać, że inicjatywa przyjazdu ekspertów wyszła z Warszawy. Wcześniej indywidualnie przyjechała Jadwiga Staniszkis, 19 czy 20 na jeden dzień pojawił się Modzelewski. Były też na miejscu, jak wspominałem, grupy inteligencji z Warszawy (Bieliński i Chojecki – potem aresztowany) i z Wrocławia. Oni zajmowali się wydawaniem biuletynu „Solidarność”. Był też Krzysztof Wyszkowski.

Poza tym do strajku „przykleiło się” wielu ludzi z Gdańska – bywało z nimi różnie: raz pomagali, kiedy indziej robili sporo zamieszania.

Trzeba tu powiedzieć rzecz istotną. Grupa ekspertów nie przyjechała do Gdańska z pełną wiarą, że uda się wywalczyć wolne związki zawodowe. Muszę przyznać, że i mnie tej wiary brakowało.

¹ Rozmowa z Lechem Kaczyńskim ukazała się w 1986 r. pod tym tytułem w piśmie niezależnym „Przegląd Polityczny” (nr 8), wydawanym od 1983 r. w Gdańsku. W redakcji główne role odgrywali Donald Tusk, Wojciech Duda i Piotr Kapczyński. Tekst skróciliśmy o część drugą poświęconą Solidarności w latach 1980–1981. (red.)

² Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność. (red.)



Mała sala BHP w Stoczni Gdańskiej, przy stole siedzą m.in. Lech Kaczyński, Anna Walentynowicz, sierpień 1980 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

Zaraz po przybyciu do stoczni zostałem zaproszony na posiedzenie, które odbywało się w stółce któregoś z wydziałów. Byli tam wszyscy eksperci i większość członków prezydium MKS-u. To tam właśnie eksperci przedstawili tzw. wariant B porozumienia, który jednak w dalszym przebiegu wydarzeń nie odegrał żadnej roli.

P.P.: Na czym polegał ten wariant?

L.K.: Była to koncepcja o charakterze zastępczym wobec idei wolnych związków i wchodziła w grę dopiero wówczas, gdyby powołanie do życia takich związków okazało się absolutnie niemożliwe. Tzw. wariant B przewidywał powstanie Komitetów Kontroli Robotniczej. Miałyby one działać w regionie gdańskim, pełniąc rolę związkowo-samorządową. Byłyby to komitety zakładowe. Tam były dwie wersje – w pierwszej komitety te powiązane byłyby organizacyjnie z Wojewódzką Radą Związków Zawodowych, w drugiej – byłyby samodzielne. Ten drugi był wariantem zasadniczym.

P.P.: Te komitety miały działać tylko lokalnie, na Wybrzeżu?

L.K.: Strajk się toczył w ramach województwa. Formalnie porozumienia sierpniowe były podstawą do tworzenia niezależnych związków zawodowych w regionie, a nie w całej Polsce... Było jednak oczywiste, że taka sytuacja nie da się utrzymać.

Kilka słów komentarza. Eksperci w strajku odegrali olbrzymią rolę i zaryzykowałbym twierdzenie, że bez nich porozumienie nie mogłoby dojść do skutku. To zaś, że szukali oni jakichś

innych rozwiązań od tego, które było przewidywane w postulacie pierwszym, jest kwestią ich politycznej odpowiedzialności. W owym czasie jeszcze postulat utworzenia wolnych związków był stanowczo odrzucany przez stronę rządową. Oczywiście, ta koncepcja jakiegos zastępczego wyjścia nie była ujawniana. I nie sędzę, żeby delegacja rządowa o niej wiedziała. Nie było to w każdym razie nigdy przedmiotem rokowań. Pomysł ten trzymano w zapasie na wypadek bardzo niepomyślnego przebiegu rozmów. W żadnym więc razie nie można powiedzieć, że eksperci byli przeciwni wolnym związkom zawodowym. Szukali po prostu takich rozwiązań, które pozwoliłyby pokojowo zakończyć strajk w warunkach, gdyby ten podstawowy postulat okazał się nie do przeforsowania.

P.P.: Kto wchodził w skład grupy ekspertów?

L.K.: Właściwie były dwie grupy – prymasowska i Tadeusza Mazowieckiego. Grupa prymasowska bezpośrednio się na sali nigdy nie pojawiła. Właściwie można mówić o niej dopiero od września 1980 r. Funkcjonowała ona przede wszystkim poprzez bezpośrednie kontakty z Wałęsą. Istnienie tej grupy było wyrazem poparcia Kościoła i osobiście prymasa Wyszyńskiego dla tworzącej się Solidarności. Przedostatniego dnia strajku przybyli do stoczni Olszewski, Stelmachowski i Chrzanowski (wcześniej uniemożliwiono im wyjazd z Warszawy). Olszewski i Chrzanowski już w tamtych dniach opracowali pierwszy projekt statutu związku. Obecność tych osób okazała się pożyteczna, choć w skład grupy Mazowieckiego nie zostali włączeni.

Podstawową grupą był zespół Mazowieckiego. W jego skład wchodził: Geremek, Kowalik, Cywiński, Stembrowicz, Staniszkis, Kuczyński (jedyne w grupie ekonomista³), Wielowieyski i Strzelecki. Z ramienia prezydium [MKS-u] doradcami zajmował się Gwiazda. Mazowiecki zastrzegł sobie autonomię polegającą na tym, że nie będzie przyjmował do tego zespołu osób, które nie uzyskają jego akceptacji.

P.P.: Jak formalnie toczyły się rozmowy?

L.K.: Dwukanałowo. Po pierwsze były to rokowania z udziałem całych delegacji, publiczne, toczony w sali BHP. Jednocześnie w salce recepcyjnej toczyły się rozmowy między grupami roboczymi. Z naszej strony uczestniczyli w nich Mazowiecki, Geremek, Kowalik i początkowo także Staniszkis. Chwilami również Kuczyński.

P.P.: Nasuwa się przypuszczenie, że decyzje naprawdę ważne zapadały w tej małej salce, a nie w rozmowach plenarnych...

L.K.: Tendencją każdej rewolucji jest próba uchylecia, zniesienia polityki. Ale polityka od kilku tysięcy lat znieść się nie daje. Nie dało się także jej uchylić w czasie strajku ani potem, w okresie Solidarności. Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju rozmowy, w których obie strony miały większą swobodę wypowiedzi, były konieczne. I okazały się pożyteczne.

P.P.: Czy ten „wariant B” stał się powodem konfliktu między ekspertami a członkami prezydium?

³ Ekonomistą był także Tadeusz Kowalik. (red.)

L.K.: Nie było ostrego ataku. W trakcie tamtej rozmowy dużo większą rolę odegrał problem reformy gospodarczej. Kuczyński dowodził, że jednym z efektów strajku może być przeprowadzenie tej reformy. Zapytałem go wówczas, na czym opiera swój sąd, skoro kilkakrotnie podejmowane w przeszłości próby spalały na panewce. On swoją tezę uzasadniał wówczas kształtem sytuacji społecznej. To był *leitmotiv* tej dyskusji, a nie sprawa Komitetów Kontroli Robotniczej. Oczywiście, zbyt przyjaźnie ten pomysł przyjęty nie został, ale do mocnego starcia między prezydium i doradcami nie doszło. A przy innych okazjach takie starcia miały miejsce.

P.P.: Na czym te konflikty polegały?

L.K.: One miały kilka płaszczyzn. Po pierwsze był to w jakimś sensie „tradycyjny” konflikt między intelektualistami a robotnikami. Mit klasy robotniczej jeszcze w tym okresie na samych robotników oddziaływał. Był to więc rodzaj nieufności do ludzi z innej grupy społecznej. Po drugie zarysował się konflikt o charakterze politycznym między bardziej radykalną i świadomą – wywodzącą się z WZZ-etów – grupą ludzi z prezydium a bardziej umiarkowaną grupą ekspertów. Trzecia płaszczyzna konfliktów łączyła się, jak sądzę, z poziomem wiedzy. Np. na posiedzeniach prezydium miały miejsce bardzo ostre starcia dotyczące oceny sytuacji gospodarczej i wynikającej z niej możliwości realizacji roszczeń płacowych.

P.P.: A czy nie wzbudziła dyskusji kwestia roli i uprawnień ekspertów?

L.K.: Tak, to była kwestia tzw. manipulacji, podczas strajku odgrywała jednak dużo mniejszą rolę niż później, kiedy stała się ona problemem politycznych wpływów, problemem władzy w Solidarności. Ważniejsze były spory ekonomiczne. Prezydium MKS-u bardzo optymistycznie oceniało możliwości realizowania roszczeń płacowych. Ekspersi – szczególnie Kuczyński – usiłowali natomiast uzmysłowić wszystkim ciężką sytuację gospodarczą kraju. Jak wiemy zresztą, ten problem nie odegrał w negocjacjach dużej roli. Enigmatyczne sformułowanie o podwyżce o jedną grupę zostało w istocie ustalone bez większego sporu. Sprawa wybuchła na nowo we wrześniu-październiku, ale już w zupełnie innej sytuacji. Na posiedzeniach w stoczni była to jednak kwestia często dyskutowana i rodząca silne napięcie. Zresztą prezydium też nie było jednorodne. Była tam grupa działaczy bardziej umiarkowanych, np. [Wojciech] Gruszecki, [Florian] Wiśniewski i w dużym stopniu Wałęsa, a z drugiej strony znajdowali się ludzie o przekonaniach bardziej radykalnych – [Joanna i Andrzej] Gwiazdowie, [Lech] Sobieszek...

P.P.: Ten sam, który potem na zjeździe wystąpił z postulatem skreślenia fragmentu z preambuły do statutu Solidarności o kierowniczej roli partii (tzw. kierownicy).

L.K.: Tak. Sprawa związek a partia już podczas strajku stała się problemem. To był główny punkt sporów politycznych między ekspertami a częścią prezydium. Doradcy uważali, że przyjęcie tu rozwiązań jednoznacznie odrzucających kierowniczą rolę partii jest nierealne, że trzeba dać stronie rządowej pewną furtkę, która pozwoliłaby jej znaleźć zaplecze po swojej stronie do podpisania porozumienia. W ekipie rządowej bowiem miały miejsce także dramatyczne konflikty w kwestii rozwiązania zaistniałej sytuacji politycznej. Z kolei prezydium, podobnie jak prawie cały MKS, uważało, że jeżeli my tej sprawy nie załatwimy teraz, to po prostu podpadniemy pod „kierownicę” i nie da się tego załatwić już nigdy. Mieliśmy tu do czynienia z charaktery-

stycznym w Polsce magicznym stosunkiem do prawa. Z jednej strony prawo się u nas po trosze lekceważy, a z drugiej sformułowania zawarte w ustawach traktuje się jako posiadające własną, samoistną moc magiczną.

Koncepcją kompromisową zapisu tego problemu (której autorstwo mogę częściowo przypisać sobie) była propozycja sformułowania, że związek nie zamierza pełnić roli partii politycznej, no i powołanie się na konstytucję. Tak też to ostatecznie zostało zapisane. Niemalą rolę w przyjęciu tego rozwiązania odegrał Andrzej Gwiazda, człowiek o radykalnych przekonaniach, ale człowiek, który w warunkach znacznego napięcia potrafi postępować odpowiedzialnie. Tu na marginesie ciekawa anegdota. Na dwa dni chyba przed zakończeniem strajku zaproponowano Lisowi i Gwiazdzie odbycie poza stoczną spotkania z przedstawicielami kierownictwa politycznego kraju. Oczywiście odmówili.

P.P.: O co chodziło? To była próba wywabienia ich ze stoczni?

L.K.: Najbardziej prawdopodobne, zważywszy, że władza wówczas rzeczywiście unikała stosowania przemocy, jest, że chodziło o zaproponowanie pewnych rozwiązań personalnych satysfakcjonujących osobiście Gwiazdę i Lisa, a odpowiadających jednocześnie władzy. Ale to są tylko moje sugestie.

P.P.: Czy strajkujący mieli świadomość, że są autorami poważnej zmiany systemowej?

L.K.: Tę świadomość miała nieliczna stosunkowo grupa ludzi. Sądzę, że gdyby była to świadomość powszechniejsza, to dużo trudniej byłoby zmobilizować ludzi do poparcia tego strajku. Poparcie nie byłoby tak automatyczne. Nie dlatego, żeby ludzie zmiany nie chcieli. Sądzę tylko, że wtedy jeszcze większość generalnie uważała, że system jest *constans*, że nie da się go zreformować czy tym bardziej zmienić. Gdyby więc zdali sobie sprawę z tego, jak poważną zmianą systemową jest powołanie do życia NSZZ, to wiara w sukces tego postulatu nie byłaby tak olbrzymia. A to właśnie wiara okazała się materialną siłą, która umożliwiła sukces Solidarności.

P.P.: Wiara uczyniła cud. Ale czy wiary tej nie gasiła obawa przed zbrojną interwencją w Polsce? Czy sprawa obcej interwencji była obecna w czasie strajku?

L.K.: Oczywiście, ta sprawa pojawiała się wielokrotnie. Po pierwsze w formie plotek, których było mnóstwo. Ale nie tylko. Istniało przekonanie, że takie rozwiązanie jest realnie groźne. Mogę przy tym powiedzieć, że już wówczas (a znacznie bardziej w okresie późniejszym) „rozwiązanie zewnętrzne” uważane było za bardziej realne niż „rozwiązanie wewnętrzne”. Świadomość takiego zagrożenia istniała i miała pewien stymulujący wpływ. Potem jednak, w miarę rozwoju Solidarności, poczucie tego zagrożenia malało. Mimo że wielu doradców – w tym Kuroń – na fakt tego zagrożenia wielokrotnie zwracało uwagę.

P.P.: A w czasie rokowań strajkowych, czy delegacja rządowa posługiwała się argumentem takiego niebezpieczeństwa?

L.K.: Na sali obrad, w rozmowach plenarnych, nie. W każdym razie na pewno nie bezpośrednio. Jak było „za zamkniętymi drzwiami” – nie wiem, bo w tamtych rozmowach nie uczestniczy-

łem. Natomiast później problem ten występował wielokrotnie. Pojawiał się także publicznie, np. w wystąpieniach w partyjnej kampanii przedzjazdowej.

P.P.: Jeszcze w czasie strajku R[yszard] Wojna w telewizji, mówiąc o sytuacji w kraju, snuł analogie do warunków, które spowodowały XIX-wieczne rozbiory Polski.

L.K.: Tak, ten element nie tyle zewnętrznej interwencji, ile zagrożenia bytu państwowego (ściślej: formalnopaństwowego) jest jednym z głównych elementów budowy wspierającej świadomość warstwy rządzącej w Polsce. Tam chyba istotnie panuje przekonanie, że odejście od władzy komunistów w tym kraju mogłoby się skończyć nie tyle wkroczeniem obcych wojsk, nie tyle powtórzeniem wydarzeń węgierskich, a po prostu utratą formalnej niepodległości przez Polskę. Gomułka np. w ten sposób widział tę sprawę.

P.P.: Czyli że w strajku sierpniowym świadomość niebezpieczeństwa interwencji była istotna?

L.K.: Tak, choć poczucie największego zagrożenia wystąpiło nie wówczas, a na początku grudnia 1980. Wiązało się to z informacjami, które wtedy otrzymywaliśmy z Zachodu, o istnieniu możliwości takiego rozwiązania. Procesy świadomościowe trudne są jednak do jednoznacznego wyjaśnienia. Z jednej strony istniała świadomość poważnego zagrożenia obcą interwencją, a z drugiej strony ci sami ludzie żądali, żeby sprawę niezależności od partii postawić ostro i jasno. Jedno nie przeszkadzało drugiemu.

P.P.: Oprócz kwestii „związek a partia” jakie inne jeszcze sprawy wzbudzały kontrowersje i dyskusje w gronie ekspertów i wśród samych strajkujących?

L.K.: Wśród strajkujących nie było wówczas żadnych istotnych sporów, co też jest charakterystyczne dla takiego rewolucyjnego okresu. Jeżeli miały miejsce spory, to ze względu na u jednych mniejszą, u innych większą skłonność koncyliacyjną. Plenum MKS-u było pod przemożnym wpływem Wałęsy, który potrafił zawsze opanować sytuację, ilekroć uznał, że sytuacja tego wymaga. Na plenum stawiano wiele bardzo radykalnych postulatów. Była to specyficzna giełda polityczna, na której wygłaszano najróżnorodniejsze mowy i przemówienia – obok politycznych także ekspiacyjne czy wręcz maniakalne. Do każdego ruchu społecznego tego rodzaju dokleją się maniacy i problem w tym, jak prędko uda się ich wyeliminować. W Solidarności nastąpiło to stosunkowo szybko. Wałęsa całkowicie nad tym wszystkim panował. Potrafił np. wejść na posiedzenie, o którym było wiadomo, że mają tam być podjęte bardzo radykalne postanowienia – a jego wejście na główną salę było swoistym ceremoniałem – wchodził na mównicę, proponował hymn i po jego chóralnym odśpiewaniu ogłaszał zakończenie posiedzenia MKS-u. I nikt nie protestował... To oczywiście przykład anegdotyczny. Wracając zaś jeszcze na chwilę do problemu inteligencja – robotnicy, trzeba powiedzieć, że w skład MKS-u wchodziło wielu inteligentów. Robotnicy przeważali natomiast w prezydium.

P.P.: Czy rokowania strajkowe przez cały czas wyglądały tak samo, aż do ostatnich dni?

L.K.: No nie, z chwilą ustalenia podstawowych punktów – pierwszego, drugiego, czwartego – rozmowy zmieniły charakter. Powołano wiele grup roboczych, które zajęły się opracowaniem pozostałych postulatów. Ja zajęty byłem w grupie pracującej na temat zmian w kodeksie pracy. Obok tego wypłynęła wówczas sprawa więźniów. Siedzieli jeszcze ludzie z „puli radomskiej” za 1976 rok, siedział Kozłowski ze Słupska⁴, Zadrożyński⁵ z Grudziądza. Poza tym zatrzymano wtedy znaczną grupę osób z Warszawy, a wśród nich także mojego brata. Część z nich dostała sankcje prokuratorskie. Powstał więc problem ich wypuszczenia, zagwarantowania tego w aneksie do porozumienia. No i tu doszło do najostrzejszego bodajże konfliktu. Grupa ludzi z Wrocławia wspomagająca strajk plus część stoczniovców podniosła regularny bunt. Wpadli na salę posiedzeń prezydium (co wcześniej się nie zdarzało, ta sala była dość ściśle izolowana) i doszło do potwornej kłótni. Chodziło o to, czy sprawę więźniów należy rozwiązywać w ramach porozumienia, czy też wyłączyć z niego i załatwiać ją oddzielnie. Wszyscy byli oczywiście za tym, żeby tych ludzi uwolniono, chodziło jedynie o to, czy było to w tamtej chwili realne. Powstała m.in. koncepcja, że ten problem sam się rozwiąże w ramach nowej sytuacji politycznej, jaką stworzy podpisanie porozumienia. Ja byłem innego zdania. Brałem bowiem pod uwagę możliwość takiej sytuacji w Polsce, że będą się tworzyły w sposób chaotyczny niezależne związki zawodowe, ale równocześnie niezależne siły polityczne, kształtujące się od kilku lat, zostaną po prostu rozbite. Do takiej równoległości, którą można by nazwać rozwiązaniem „natolińskim”, mogło dojść.

P.P.: Ile osób wówczas zatrzymano?

L.K.: Około dwudziestu, połowa z nich miała sankcję. Tymczasem sytuacja w stoczni wyglądała tak, że porozumienie było już właściwie parafowane i miało być podpisane o godz. 17.

P.P.: Jakie były argumenty tych, którzy nie chcieli sprawy więźniów stawiać tak kategorycznie i uzależniać od niej podpisania porozumienia?

L.K.: Argument był jeden podstawowy. Mamy porozumienie o znaczeniu historycznym. Zezwala ono na niezależne związki zawodowe. Porozumienie to zostało zawarte niejako na granicy politycznej możliwości. Każdy krok dalej może tę granicę przekroczyć.

P.P.: Jak tę sprawę ostatecznie rozwiązano?

L.K.: Kilka godzin przed wyznaczonym terminem podpisania porozumienia nakłoniliśmy Andrzeja Gwiazdę, żeby interweniował twardo w sprawie więźniów u Jagielskiego, który urzędował wtedy w budynku dyrekcji. Gwiazda poszedł i sprawę załatwił. Były tam podobno jakieś rozmowy Jagielskiego z Warszawą i, jak wiadomo, jeszcze tego samego dnia zaczęły się zwolnienia i do wieczora 1 września zwolnieni zostali właściwie wszyscy.

⁴ Jan Kozłowski – działacz niezależnego ruchu chłopskiego, współpracownik KOR. 10 IX 1978 r. w Lisewie razem z m.in. Henrykiem Kossutem, Tadeuszem Fijałkowskim i Piotrem Sękiem założył Tymczasowy Komitet Niezależnego Związku Zawodowego Rolników. Aresztowany w październiku 1979 r., 1 II 1980 r. został skazany za rzekome pobicie sąsiada na dwa lata więzienia; w maju 1980 r. na jego rozprawę rewizyjną w Sandomierzu przybyło wiele osób związanych z opozycją. Wyszedł z więzienia 2 IX 1980 r. na podstawie porozumienia gdańskiego. Nie pochodził ze Słupska, lecz z Sandomierszczyzny. (red.)

⁵ Edmund Zadrożyński – robotnik z Grudziądza, współpracownik KOR, członek redakcji „Robotnika”. W 1978 r. powołał Niezależny Ruch Robotniczy (Związkowy). 1 VII 1979 r. aresztowany pod zarzutem popełnienia przestępstwa kryminalnego, w marcu 1980 r. został skazany na trzy lata więzienia i 70 tys. zł grzywny. W jego obronie organizowano akcje petycyjne i ulotkowe, interweniował prezydent USA Jimmy Carter i zachodnie centrale związkowe. Zwolniono go z więzienia na podstawie porozumienia gdańskiego. (red.)

P.P.: Czy można przyjąć, że sprawa więźniów była swoistym testem, jakiemu władza poddawała formujący się związek?

L.K.: W pewnym sensie oczywiście tak. Poza tym władza miałaby tu atut wobec własnego aparatu. Oto podpisaliśmy porozumienie o powołaniu NSZZ, ale jednocześnie znaczna grupa opozycjonistów, którzy wcześniej chodzili sobie po wolności, teraz siedzi. Z perspektywy czasu sądzę, że gdyby ten problem nie został wówczas w ramach porozumienia rozwiązany, mógłby znacznie skomplikować sytuację Solidarności w pierwszym okresie jej istnienia. Inna rzecz, że władza chciała – chociaż przez pewien czas – izolować tych ludzi z opozycji od tworzącego się ruchu społecznego.

P.P.: Jednym słowem porozumienie, sukces – wbrew małej wierze ekspertów...

L.K.: Tak stawiać sprawy nie wolno. O roli, jaką eksperci odegrali w czasie strajku, już mówiłem. Jeżeli chodzi o mnie, a sądzę, że moje przekonania były w tej sprawie bliskie ekspertom, wierzyłem w sukces strajku, tylko nie w takiej postaci. Sądziłem, że to będzie zczyn do zmian demokratycznych w Polsce, które być może przybiorą jakiś instytucjonalny wyraz, ale fakt, że w wolne związki nie wierzyłem. Nie szedłem jednak na strajk jako straceniec. Wątpiłem tylko w rozmiary sukcesu zakreślone w pierwszym postulacie. Porozumienie zostało podpisane w niedzielę, ale już od wtorku przebieg rozmów wskazywał, że postulat pierwszy jest realny. Po drodze było tam jeszcze wahnięcie – w czwartek obradowało Biuro Polityczne [KC PZPR], mówiło się, że władze w pewnym momencie bliskie były podjęcia próby użycia siły, ale to minęło. [...]

P.P.: Co było pierwszego września?

L.K.: Mieliliśmy już lokal we Wrzeszczu, na Marchlewskiego. Olbrzymie, zupełnie puste mieszkanie. Między 8 a 9 rano zaczęliśmy się tam gromadzić i usiłowano rozdzielać zadania... 2 września na posiedzeniu prezydium MKZ-etu powołana została grupa ekspercka, w skład której weszli prof. [Edward] Lipiński, Jacek Kuroń i ja. Z początku istnienia tej grupy nie ujawniano, zrobił to dopiero Wałęsa w końcu października, ale bez podawania nazwisk. Ta komisja nie była zwartą grupą. Prof. Lipiński ze względu na wiek do Gdańska nie przyjeżdżał. Ja z Kuroniem za to przez dwa miesiące współpracowałem blisko.

P.P.: Skąd nazwa NSZZ – dlaczego nie Wolne Związki Zawodowe?

L.K.: To było pewne ustępstwo z naszej strony. Delegacja rządowa podnosiła, że termin wolne związki ma odniesienia do jednej z międzynarodowych konfederacji, której przypisywano charakter pravicowy. Chodziło też o kwestię następstwa. Wcześniej na Wybrzeżu istniały WZZ-ety – utrzymanie tej nazwy oznaczałoby, że Solidarność jest dzieckiem opozycji politycznej. Na to strona rządowa nie chciała się zgodzić. Z kolei gdy z naszej strony ktoś wymyślił „niezależne”, problem nie odgrywał już takiej roli. Zresztą kwestia, czyją schedą jest Solidarność, będzie powracała przez cały czas jej istnienia. Będzie to oczywiście problem polityczny. [...]